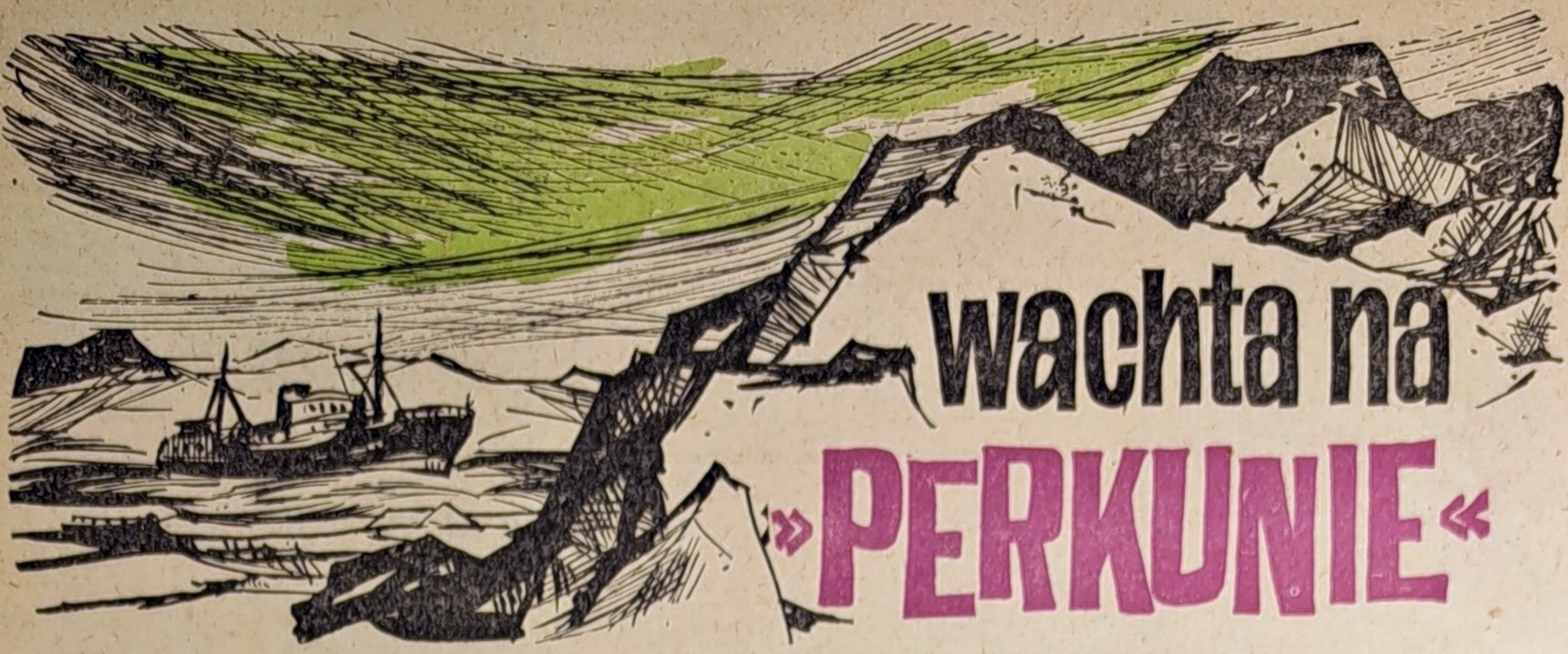

wachta na »PERKUNIE«

Rys. M. Teodorczyk

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 13 (1587) Warszawa, wtorek, 14 lutego 1967 r. Cena 50 gr

Polskie Ratownictwo Okrętowe, wśród kilkudziesięciu statków różnych typów, posiada dwa lodołamacze — „Światowida" i „Perkuna". Ich portem macierzystym jest Szczecin. Pewnego styczniowego dnia, uzyskawszy uprzednio zgodę dyrekcji PRO, pojechałam do Szczecina, by zaokrętować się na m/s „Perkun".

Mój szef zapowiedział, że reportaż ma być bombowy. Z trzaskiem lodów, zawieją śnieżną, nawet z odmrożonym nosem. W Warszawie, kiedy wyjeżdżałam, trzymał ostry mrozik. Ale tu... ciepło. Mgła. Spokojna Odra leniwie toczy mętną wodę. Ani śladu kry. Kapitan statku, pan Włodzimierz Słociński, spogląda na mnie z wyraźnym współczuciem. Ale pierwszy oficer, Włodzimierz Pawłowski, który właśnie pełni wachtę, kiedy wchodzę na pokład „Perkuna", wcale się nie certuje:

— Jeśli pani na lody, to najlepsze są w „Orbisie" — wita mnie ku wyraźnej uciesze obecnych.

— Za godzinę wyruszamy na Zalew — pociesza kapitan — zobaczy pani trochę lodu... A na razie...

Na razie poznaję statek i zdobywam tak zwaną wiedzę okrętową.

W czasie pierwszej lekcji dowiaduję się, że jeśli nie chcę wilków morskich przyprawiać o nerwową chorobę, muszę sobie zapamiętać, iż na statku nie ma pokoi tylko kajuty, jadalnia nazywa się messą, a pomieszczenie, z którego się steruje — mostkiem kapitańskim.

(Ciąg dalszy na str. 2 — 3)

W KLUBIE NASTOLATKÓW: O AMBICJI

WIELE W NASZYM KLUBIE PORUSZALIŚMY TEMATÓW. Dziś chciałbym zastanowić się nad dobrą stroną charakteru — ambicją. No cóż, nie każdy ją posiada.

Moim zdaniem jest to bodziec psychiczny odgrywający bardzo ważną rolę w rozwoju człowieka.

Uczeń ambitny pragnie i chce zawsze być najlepszym w nauce, w sporcie, we wszystkim, co robi. Nie zawsze jednak te cele ambicjonalne są „czyste". Czasem też popełni się coś niewłaściwego, wtedy ambitny podwójnie przeżywa swoją klęskę.

Ale ktoś o prawdziwej, zdrowej ambicji zawsze stara się naprawić swoje złe uczynki i postępowanie. Nie może inaczej postąpić, gdyż „gryzie" go sumienie.

Dotąd pamiętam takie oto zdarzenie:

Pewnego dnia zachorowała nasza nauczycielka. Odwiedzali ją uczniowie z klasy. Ja natomiast — tak się złożyło — nie mogłem pójść z nimi.

Kiedy nauczycielka wróciła do szkoły, podziękowała wszystkim za odwiedziny, za troskę i opiekę.

Przyznaję, że jestem ambitny i dlatego, kiedy pani o tym mówiła, byłem czerwony ze wstydu. Ponieważ dziękowano mi za coś, czego nie zrobiłem.

Po tamtym wypadku zacząłem zastanawiać się nad określeniem „ambitny". Sam napisałem sobie kilka punktów odnośnie ambitnego ucznia. Dotyczą one ujemnych cech człowieka ambitnego.

Ciekawi mnie również odwrotna strona tego tematu. Co czuje ambitny, gdy dokona wielkiego — na własną miarę — czynu? Czy ambitny to jednocześnie skromny?

A jakie ma najczęściej wady ten, którego określają dumnym słowem ambitny?

„TRZYNASTOLATEK"

Od Klubu:

Pomóżmy wspólnie naszemu koledze znaleźć odpowiedź na jego ciekawe pytania. Kto pierwszy napisze?

SZUKAMY ODPOWIEDZI NA CIEKAWE PYTANIA

„Babskie rządy" na lotnisku

Od pół roku katowicki port lotniczy w Pyrzycach kierowany jest przez panią Reginę Śnitko. Posiada ona dyplom pilota i długoletnią praktykę na odpowiedzialnych stanowiskach w lotnictwie cywilnym. Kapitan Żeglugi Wielkiej pani Danuta Walas-Kobylińska ma więc koleżankę zajmującą, podobnie jak ona, stanowisko rezerwowane dotychczas dla mężczyzn.

Foto CAF

CHWAŁA SZEWCOM!

Mróz, śnieg — a my w ciepłych kozaczkach... Chwała wam, szewcy (ci z Chełmka i Nowego Targu także....) — zdają się mówić cztery warszawianki pozdrawiające przyjaźnie mistrza Jana Kilińskiego, który słynął nie tylko z patriotyzmu, ale i wyrobu wykwintnego obuwia.

Foto CAF

PRZYGODA Z NIEDŹWIEDZIEM

16-letni Kanadyjczyk Fred Lipka, mieszkający na północy swego kraju, wybrał się do lasu uzbrojony jedynie w siekierę. W pewnej chwili usłyszał za sobą jakieś podejrzane szmery. Obejrzawszy się ujrzał ogromnego niedźwiedzia, który w niedwuznacznych zamiarach szybko zbliżał się w jego stronę. Chłopak nie stracił zimnej krwi. Przykucnął na ziemi i ruszył „na czworakach" w kierunku dzikiego zwierza, wydobywając przy tym z siebie nieartykułowane dźwięki, mające przypominać ryk niedźwiedzia.

Zdezorientowane zwierzę uciekło...

Olbrzym i mikrus

80 lat liczy sobie wielki żółw z Galapagos, mieszkaniec londyńskiego ZOO. Jak na żółwia jest to osobnik w „kwiecie wieku" i sił. 80 dni ma jego pobratymiec (siedzi mu na głowie) Gdy ustawiono obydwu obok siebie, ten mniejszy okazał się... szybszy.

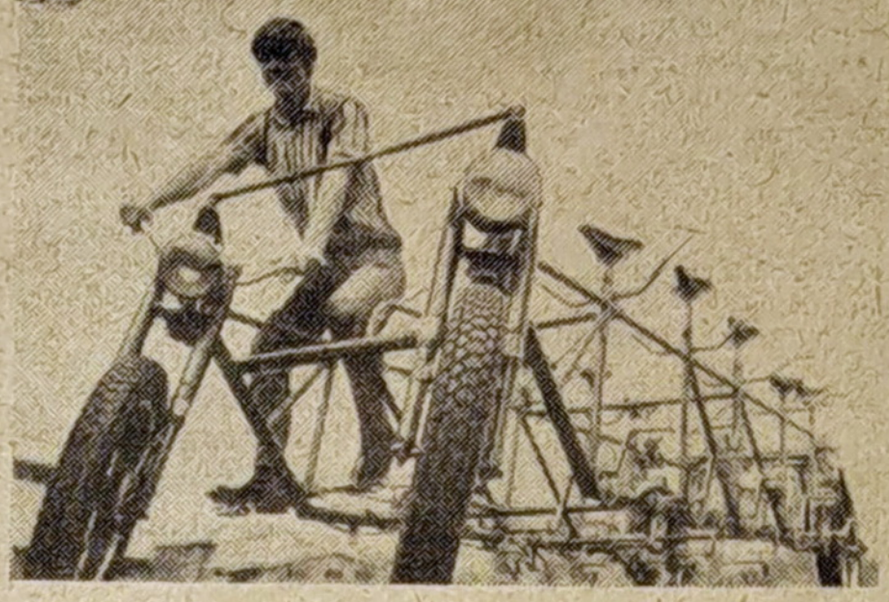

ROWER NA CZTERECH KOŁACH

Dziesięciu chłopców z australijskiego miasta Bartonowood wybiera się na wycieczkę 10-cio przekładniowym rowerem. Ten dziwny pojazd skonstruowany został przez 17-letniego studenta inżynierii, Davida Clarka. Wieloosobowy rower osiąga szybkość około 24 km na godzinę.

Foto: CAF

WYSPA BEZ DESZCZU

Na Morzu Aralskim znajduje się wyspa o nazwie Barsa-Kelmes. Osobliwością wyspy są nie tylko ciekawe gatunki ptaków i zwierząt, ale i to, że prawie nigdy nie pada tu deszcz i to nawet wówczas, kiedy leje nad Morzem Aralskim. Zjawisko to ma swoją przyczynę w tym, że powierzchnia wyspy jest silnie nagrzewana przez słońce. Dzięki temu nad małym lądem tworzy się zawsze słup ciepłego powietrza rozpędzającego deszczowe chmury.

wachta na »PERKUNIE«

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Statek ma burty (prawą i lewą) a nie boki, a zamiast ścian — szoty. Schody zwą się trapami. Wyrzuca się śmieci, zarzuca sieci, a kotwicę... rzuca.

Grube liny, te same, które w czasie postoju utrzymują statek przy nabrzeżu, zwą się cumami. Ale na wodzie... Na wodzie w czasie akcji podaje się hol, chociaż to przecież taka sama lina o średnicy dwudziestu kilku milimetrów...

Pierwszy egzamin „Perkuna"

— „Perkun" jest młodzieniaszkiem. W tym roku kończy pięć lat. Pierwszy egzamin zdawał w 1963 roku, właśnie w czasie słynnej zimy stulecia — opowiada pan Stanisław Kwiatkowski, starszy mechanik, czyli Chief. — Wówczas to i „Światowid", i „Perkun" chodziły aż do Sundów. Wyprowadzały ze Szczecina całe konwoje statków na wolne od lodu morze. Tam zbieraliśmy statki i kutry, które wracały do kraju. Pamiętam, kiedyś otrzymaliśmy wezwanie SOS. Supertrawler gdyńskiego „Dalmoru" utknął w lodzie.

Śnieżyca i silny zachodni wiatr utrudniały akcję. Lód dryfował. Byliśmy zaledwie czterdzieści metrów od tamtych. Zwały kry spiętrzały się wokół supertrawlera. Płyty lodu pięły się pionowo w górę. Widzieliśmy, jak marynarze spychali tę krę, czym mogli. Nasz lodołamacz taranował. Cofał się, uderzał dziobem w lód, znowu się cofał, i uderzał... 15 godzin to trwało! Byliśmy zmordowani do ostatecznych granic. Co gorsze, nie posuwaliśmy się wcale do przodu. Ci, którzy nie mieli wachty, nie mogli zmrużyć oka. Dudnienie, jakby ktoś toczył żelazne beczki po kamieniach. Koje zamieniały się w piekielne łoża. Najbardziej wyczerpani kładli się i jeszcze szybciej wstawali, bojąc się, że porozbijają sobie głowy.

O czwartej nad ranem postanowiliśmy odpocząć. Kiedy się przejaśniło, dokoła była czysta woda. Po prostu przyszedł inny wiatr i przesunął lody dalej...

Owej zimy aż roiło się od kolizji na morzu. Właśnie w Sundach lody wsadziły m/s „Prądnik" na latarnię morską, a „Kopernik" wszedł na skały.

— W Kattegacie na m/s „Gniezno" władował się panamski statek. Kiedy przybyliśmy „Perkunem" w prawej burcie ziała dziura, w którą można by wjechać wagonem kolejowym — wspomina pan Pawłowski. — Część załogi zdjęliśmy na lodołamacz. Ci, którzy pozostali, wzmocnili belkami szot. Ledwo dociągnęliśmy do duńskiego portu Arhus.. A teraz... zima się jeszcze właściwie nie zaczęła... Ale i tu bywa jak w Arktyce...

Kurs zygzakiem

OBESZŁAM „Perkuna" wzdłuż i wszerz, w głąb i wzwyż. Wzdłuż 55,6 m, wszerz 13,9 m. Byłam w maszynowni. Ten stosunkowo niewielki statek posiada moc 3680 Koni Mechanicznych, i może rozwijać prędkość do 14 węzłów. — Pływająca maszyna — wyjaśnia Chief. — Kruszy lód, posuwa się naprzód i ciągnie na holu jednostki większe od siebie.

Właśnie na dole znajdują się bardzo ciekawe urządzenia. Otóż na dziobie i rufie, zainstalowane są olbrzymie zbiorniki, tzw. tanki trymujące. Dają one możliwość przygłębiania. U obu burt z kolei są tzw. tanki przechyłowe. Kiedy „Perkun" obmarznie lodem, dzięki owym tankom jest w stanie sam wyswobodzić się z lodowych okowów. Wystarczy uruchomić specjalną pompę, która w ciągu minuty jest zdolna przepompować 60 ton wody zaburtowej z jednego tanku do drugiego. „Perkun" zaczyna się kołysać, lody oczywiście pękają i... witaj swobodo!

Na pelengowym pokładzie (nad mostkiem) na wysokim maszcie obraca się radarowa antena. Omiata tor przed, obok i za nami. Wiązki promieni odbite od bram torowych Zalewu, od bojek i statków układają się na specjalnym ekranie w postaci jasnych kropek i placków. Im dalej znajduje się jakiś obiekt, tym bardziej plackowaty ma kształt, by zmniejszyć się do kropki w chwili, kiedy go mijamy.

*

Między III a II Bramą Torową, tam gdzie tor wodny jest najgłębszy i najszerszy, kapitan pozwala mi stanąć przy kolumnie sterowej. „Perkun" nie ma bowiem koła sterowego, a właśnie kolumnę. Na niej umieszczona jest dźwignia. Dźwigienkę przesuwa się w prawo lub w lewo, w zależności od tego, jaki kurs się chce obrać.

Tuż przed dźwignią — kompas magnetyczny, którego igła wykazuje

Oto pracownia pana Eigla — dyżurka w jednym z kopenhaskich oddziałów straży pożarnej. Tu powstają całe zastępy „Jajkowych ludzików".

zjadając na śniadanie jajka na twardo, wpadł na znakomity pomysł, aby skorupki po jajkach wykorzystać do budowy figurek. Od tego czasu rozpoczęła się masowa „produkcja" ludzików. Później ulepszył swoje lalki, wprowadzając do ich budowy plastry służące normalnie do przekładania w paczkach warstw ułożonych jaj.

Ludziki powstają w bardzo prosty sposób: korpus jest sklejony z dwóch stożkowatych komórek plastra, natomiast głowa z nakryciem stanowi kombinację skorupki jajka i odpowiednio przyciętego plastra. O wiele trudniejszą czynnością jest „ubranie" figurek w odpowiednie kostiumy. „Ubieranie" polega głównie na malowaniu. Surowe, białe lalki w rękach cierpliwego strażaka przekształcają się w żołnierzy, policjantów, strażaków...

Ostatnio pan Eigel rozpoczął bardzo ciekawą i zakrojoną na dużą skalę pracę. Postanowił stworzyć pełną kolekcję strażaków, policjantów i milicjantów reprezentującą wszystkie kraje świata.

Mamy nadzieję, że przez najbliższe lata pan Eigel nie będzie się nudził — czeka go bowiem ogromna praca.

(bor.).

Niezwykłe hobby ogniomistrza z KOPENHAGI

Pan Eigel Buchmann jest strażakiem w Valby — jednej z dzielnic duńskiej stolicy, Kopenhagi. Jak każdy strażak, pan Eigel nie lubi bezczynności. A tu, podczas dyżuru, często przez wiele godzin nie ma nic do roboty. Pożarów nie gasi się przecież codziennie.

Któregoś dnia pan Eigel,

A tak wyglądają gotowi stróże porządku publicznego, wykonani przez duńskiego strażaka.

Pan Eigel swoją niecodzienną twórczością zyskał sobie dużą popularność nie tylko w Danii. Część jego „ludzików" wyjechała już na wystawę do Kanady.

Foto CAF

Służba na lodołamaczu trwa dwadzieścia dni. Ja trafiłam na zmianę, którą dowodził kapitan Żeglugi Wielkiej pan Włodzimierz Słociński (na zdjęciu w środku). Pan Słociński na m/s „Perkun" przebywa chwilowo. Statkiem przez niego dowodzonym jest pełnomorski holownik „Jantar". Z lewej strony stoi pierwszy oficer „Perkuna" Włodzimierz Pawłowski, z prawej — starszy mechanik, czyli Chief — Stanisław Kwiatkowski.

każdy stopień odchylenia. Ja jednak nie zwracam uwagi na kompas. Staram się dziób „Perkuna" utrzymać w ciemnym pasie wody, jaki pozostawia wśród kry idący przed nami duży radziecki statek.

Mijamy II bramę. Przy kolumnie staje pan Bielecki, a pan kapitan radzi, żebym wyjrzała na tor za nami.

— Gdybyśmy w taki sposób prowadzili statki w lodach, z kadłubów, zrobiłaby im się harmonijka...

Okazuje się, że sterowany moją dłonią „Perkun" szedł zygzakiem...

Duńczyk na mieliźnie!

CAŁĄ NOC śnią mi się góry lodowe. „Perkun" taranuje. Kruszony lód wali się z łoskotem na pokład. Statek kołysze się w prawo i w lewo, w przód i w tył i zwały lodu lecą w morze.

Otwieram oczy. W kajucie jest zupełnie jasno. Co się dzieje, ten łoskot trwa nadal!? — Zupełnie jakby ktoś toczył po kocich łbach żelazne beczki — przypominam sobie określenie Chiefa.

Wyskakuję z koi. Ubieram się pospiesznie. Pukanie do drzwi: — zaczęła się akcja! Prosimy na mostek!

Pan Pawłowski już nie proponuje mi wycieczki do szczecińskiego „Orbisu".

— Oto i po spokoju — mówi. — To pani sprowadziła na nas ten wschodni wiatr...

Wschodni wiatr ruszył taflę lodową, a nie ma nic gorszego niż dryfujący lód. Perkun ze zgrzytem wcina się w szarawą, szklistą płaszczyznę. Tuż za nami posuwa się niemiecki statek „Glowe", za nim majaczy polski „Jedność Robotnicza". Trzeci niknie w gęstej mgle.

Na mostku ruch. Co chwila kapitanaty portów Szczecina, Polic, Świnoujścia pytają drogą radiową o sytuację na Zalewie. A ta nie przedstawia się najweselej.

Od I bramy Torowej do III Bramy Torowej dryfuje tafla lodowa w kierunku zachodu. Od III do IV luźna kra lodowa. Statki małe i słabe muszą korzystać z pomocy lodołamaczy. Wiatr wschodni o sile 5 stopni. Zachmurzenie całkowite...

Jesteśmy jakieś półtorej mili od I Bramy, kiedy dostrzegamy niewielki stateczek. Kiedy się zbliżamy, okazuje się, że statek stoi.

— Panie kapitanie! Znosi go!

Napór lodu jest tak wielki, że statek posuwa się w bok od głębokiego toru! A grubość tafli nie przekracza chyba 10 centymetrów!

Przez lornetkę można już odczytać nazwę na niebieskim kadłubie. Wyraźnie również widać flagę. To duński statek „CITO".

Kapitan włącza syrenę. Jej ryk słychać chyba aż na niewidocznym brzegu. To sygnał dla statków z konwoju. Krótki i trzy długie. W alfabecie Morse'a litera „j". Znaczy to — idźcie dalej sami. Nie skręcajcie za nami.

Do Kanału Piastowskiego jest niecała mila. Tam już jest czysta woda i statki dadzą sobie radę bez lodołamacza.

„Perkun" ostro wykręca w lewo. Kawałki lodu odbijają się od burt. Pryskają na boki.

„CITO" wciąż bokiem posuwa się dalej i dalej. Jest już ponad pięćdziesiąt metrów od toru wodnego! Jeszcze trochę i siądzie na mieliźnie.

Ale oto już śruby „Perkuna" mielą muliste dno. Cofamy się. Znowu idziemy do przodu. Znowu się cofamy. Jesteśmy już bardzo blisko duńczyka. Napór lodów między kadłubami statków jest tak wielki, że tafla pęka na kawałki. „CITO" powoli wchodzi w rynnę wodną. Prowadzimy go do IV Bramy. Stamtąd aż do Szczecina na dobry tor.

Szczecińska Arktyka

PRZEZ CAŁY DZIEŃ i cały wieczór oba lodołamacze miażdżą lodową taflę. Prowadzą do Szczecina konwoje statków.

Następnego dnia sytuacja wcale się nie poprawia. Późnym wieczorem „LONE STEWENS" grzęźnie w lodzie kilkadziesiąt metrów za rufą „Perkuna".

Dryf lodu jest tak silny, że zamyka drogę tuż za nami!

Znowu wyje syrena okrętowa! Sygnał długi i krótki — weźmiemy was na hol.

Reflektor oświetla pokład „Perkuna" i kadłub „LONE STEWENS". Zacina deszcz ze śniegiem. Bosman, cieśla i marynarz wachtowy przygotowują hol do podania. Następny sygnał syreny — podajcie swoją rzutkę...

Z „LONE STEWENS", rzucają linkę, ale wiatr znosi ją w bok!

Nasz bosman nie czeka, ciska rzutką na pokład tamtego. Trafia. Teraz do rzutki uwiązują grubą stalową linę o przekroju 28 milimetrów.

Tę linę muszą tamci przeciągnąć i umocować do polerów. Jak długo to trwa? Przemarznięta i przemoczona wracam na mostek. Wreszcie „Perkun" rusza do przodu.

Statek ciągnięty na holu przypomina dzikiego źrebaka, któremu po raz pierwszy założono uzdę...

Dziób „Perkuna" ze zgrzytem tnie lodową taflę. Roztrącana kra dudni głucho o burt, jakby ktoś toczył żelazne beczki po kocich łbach... Zaczęła się szczecińska Arktyka.

Tekst i zdjęcia
WIESŁAWA MROCZEK

Bramy Torowe = znaki nawigacyjne. Na Zalewie Szczecińskim jest ich cztery. Są to parzyste wieże, w nocy oświetlone. Między tymi wieżami przebiega tzw. tor wodny, czyli wytyczona trasa do żeglugi.

Mila morska = 1852 m.

Węzeł = szybkość jednej mili morskiej na godzinę. Węzłami mierzy się szybkość statku.

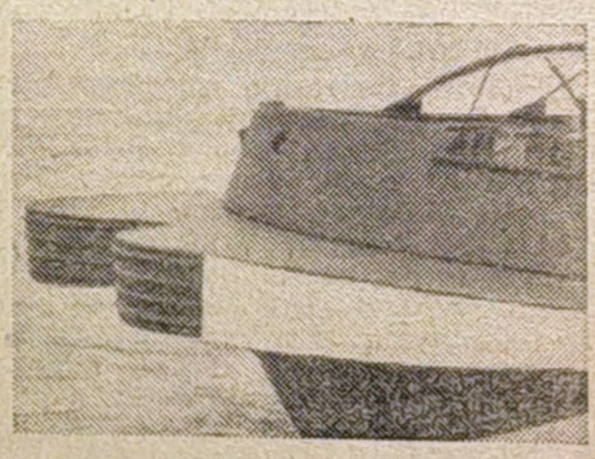

Rufa lodołamacza posiada fryzę (widoczną na zdjęciu). W trudnej sytuacji lodowej, wciska się w tę fryzę dziób holowanego statku. Mocuje się go do lodołamacza i taranuje lody. Siła uderzeniowa dziobu lodołamacza wzmacnia się wówczas o moc uczepionego do owej fryzy statku.

miasto PARTYZ

OTO OSTRÓW LUBELSKI: niewielkie miasto, położone na skraju powiatu lubartowskiego, nad rzeką Tyśmienicą. Dookoła tej miejscowości rozprzestrzeniają się lasy i torfowiska. Pociągi tutaj nie dochodzą. Komunikację zapewniają szare autobusy Spółdzielni Pracy „Transped" w Lublinie. Ale gdy chwyci siarczysty mróz, albo spadną obfite śniegi, a zawieje utworzą na szosie zaspy — miasto jest odcięte od świata. Czeka się wtedy z niecierpliwością na pługi śnieżne, bo raźniej się człowiek czuje, kiedy wie, że... okno na świat — droga — jest otwarta...

Podczas okupacji do miasta prowadziła szeroka, piaszczysta droga, która w deszczowe dni zamieniała się w trudne do przebycia grzęzawisko. Nikogo jednak z mieszkańców taki stan rzeczy nie martwił: wprost przeciwnie — cieszono się, że droga jest taka, jaka jest, a byli i tacy, którzy jeszcze w niej kopali rowy i głębokie dziury, a potem wszystko pięknie maskowali. Metody były trochę prymitywne i pracochłonne, ale bardzo skuteczne. Ileż hitlerowskich samochodów i motocykli wpakowało się w tak przygotowane pułapki! Cyfry nie da się dokładnie ustalić — nikt wtedy nie liczył aktów sabotażu, bo czasu brakło.

Niemcy dotarli do miasta z początkiem października 1939 r., ale przedtem mieszkańcy ujrzeli przeciągające przez drogę polskie oddziały. Żołnierze byli umęczeni, brudni, na wozach transportowano rannych. To byli ci spod Kocka. Rozbici w ostatniej wrześniowej bitwie cofali się głęboko w lasy, aby nie wpaść do niewoli. Pani Anna Samulik, aptekarka, wraz z innymi kobietami, udzielały rannym pomocy. Mężczyźni słuchali żołnierskich opowieści. Padały informacje o ukrytej przed wrogiem broni, zapamiętywano te miejsca...

Autobus zatrzymuje się przed kioskiem „Ruchu", jest późne popołudnie, wieje ostry wiatr, trzyma dobry mróz. Podnoszę kołnierz od palta. Kilku chłopaków patrzy na mnie ciekawie. Pewnie tu zawsze przychodzą, by zobaczyć, kto przyjechał. Udaję jakbym tu był ze sto razy, idę przed siebie. Zanim wyciągnę swój reporterski notes, muszę się zaznajomić z tą miejscowością, która w czasie lat okupacji zyskała miano stolicy Rzeczypospolitej Partyzanckiej, a po wojnie 19 sierpnia 1946 roku, otrzymała nadany jej przez Radę Państwa Krzyż Grunwaldu. To samo wysokie odznaczenie nadano również pobliskim Jamom i Bółkom, które uważane są za przedmieścia Ostrowa.

Ciemno — marsza gdzieś grają. To pewnie w Domu Kultury jest próba orkiestry. Gdy ćwiczą, można po domach tańczyć — słychać ich na kilometr...

Zawracam — przystaję przy budynku Gromadzkiej Rady Narodowej. Jej sekretarzem jest Jan Doroszewski. Mówiono mi o nim w Lublinie. To były partyzant z tego terenu — takich jak on jest zresztą ponad stu. Mimo późnej pory w Radzie urzędują. Nie ma tu zwyczaju zamykać drzwi na klucz o godzinie piętnastej. Rada jest dla ludzi — nie można odesłać z kwitkiem gospodarza, który przejechał wiele kilometrów, aby załatwić jakąś swoją sprawę, a z dojazdami jest kiepsko — szczególnie w zimie.

Sekretarz jest zdziwiony moją wizytą:

— Że też chciało się panu marznąć. Radzę najpierw się rozgrzać. Nie — nie tu. Proszę iść do mojego domu — to po drugiej stronie ulicy. Jak żony nie będzie, to sam pan zagotuje sobie herbatę. Drzwi będą otwarte, bo się tu nie zamykamy, nikt nikogo nie okradnie. Za okupacji tak było i już zostało. Bo wie pan, jak partyzanci Gwardii Ludowej do nas przychodzili, to nie potrzebowali pukać. Po co było robić hałas: weszli, usiedli, zagrzali się, zjedli coś i szli dalej, albo i nocowali.

Pani Genowefa była w domu. Stronice mojego notesu zaczęły się zapełniać.

Patrol na motocyklu

— KIEDY TU WPADLI na motocyklach, miasto było jak wymarłe. Wielu mężczyzn od razu uciekło przed nimi do lasu, a reszta mieszkańców pozamykała się w domach na cztery spusty. Patrzyłam na nich przez firankę w oknie. Rozglądali się czujnie, broń mieli gotową do strzału. W jakiś czas potem przygalopował duży oddział kawalerii. Zaczęli rozbijać polskie tablice na urzędach, wrzeszczeli, tłukli w okiennice.

Prowadziłam sklepik z różnymi towarami i ktoś im powiedział mój adres, więc zjawili się.

— Otwieraj sklep! — rozkazali.

Otworzyłam — wzięli co miałam. Taki był mój pierwszy z nimi kontakt.

Po kilku tygodniach ustanowili w mieście swoje urzędy, sprowadzili żandarmów, zaczęli ogłaszać nowe prawa. Śmiać mi się chce z tych rozpodządzeń — niektóre ich obwieszczenia są w naszej „Izbie Pamiątek". Proszę tam wpaść. Czego nam wtedy zabraniano...

— Niech pan pije tę herbatę — trzeba się rozgrzać...

— Partyzantem był tu każdy dorosły. Wprawdzie nie mieszkaliśmy w lesie jak gwardziści, ale byliśmy gotowi na każdy ich rozkaz. Zresztą partyzanci musieli mieć swoje zaplecze. Potrzebowali mąkę na chleb, cukier, sól, buty i bieliznę. Nie było zresztą dnia bez nich. U mnie w domu działało tajne radio. Obsługiwał je „Roman". Jest on dzisiaj naczelnym redaktorem „Expressu Wieczornego" — nazywa się Leon Bielski. Ileż to razy musiałam mu organizować baterie, ileż razy wiozłam ukryte w wozie akumulatory do naładowania. Światła elektrycznego wtedy u nas nie było.

Raz mnie złapali. Jechałam wieczorem wozem z Lubartowa i nagle słyszę groźne wrzaski:

— Halt! Stać!

Aż mnie ze strachu kolka chwyciła. Akurat wiozłam pół wozu różnych towarów, bo ten sklep wciąż był otwarty, a w dodatku gwardziści zaopatrzyli mnie obficie w zdobyte na Niemcach marki, za które miałam im nakupować różnych rzeczy, w tym kilkadziesiąt sztuk baterii, bo dowiedzieli się, że są w jednym sklepie. Mam więc teraz to wszystko stracić?

— Partyzantka! — mówią do mnie. Bandit! Schodź z wozu!

Zaczęli rewidować i dogrzebali się do baterii.

ZANTÓW

— Dla partyzantów wieziesz! — ryknęli.

— Jak to? — zaczęłam im tłumaczyć piąte przez dziesiąte po polsku, trochę po niemiecku. Sklep prowadzę, więc muszę mieć towar. Wasz burmistrz mnie po to wysłał.

I akurat znalazłam taki papierek wypisany po niemiecku, że rzeczywiście mam sklep. Przeczytali, obejrzeli pieczęć i kazali mi jechać.

Uśmieliśmy się później z „Romanem" z tej przygody. Gwardziści mogli słuchać komunikatów z frontów, które były dla nich na wagę złota.

*

Hitlerowcy wiedzieli o partyzantach — coraz bardziej odczuwali ich działalność na własnej skórze. Przypuszczali też, że ludność Ostrowa pomaga im jak może. Próbowali więc zastraszyć mieszkańców. Do miasta wpadały bataliony Schutzpolizei, aby przeprowadzić pacyfikację. Wzmocniono też posterunki żandarmerii, wyznaczono wysokie nagrody za informacje, które mogłyby naprowadzić Niemców na ślad gwardzistów. Ale choć w pierwszych latach okupacji aż połowę ludności Ostrowa (3000) wywieziono do obozów i tam zamęczono, nikt nie tracił ducha. Odpowiedzią na prześladowania były głuche detonacje, które słychać było, szczególnie nocą, w miasteczku. Wszystkim Polakom rosły wtedy serca, bo należało się domyślać, że akcja Gwardii Ludowej się powiodła, że znowu pociąg spieszący z amunicją lub wojskiem na front wschodni wyleciał w powietrze.

Stary młyn, a w tym młynie...

JEST W OSTROWIE MŁYN — niewielki, drewniany, ale solidny, pracujący bez awarii już od wielu lat. W czasie okupacji gospodarzył w nim Stanisław Domaszewski — dziś sprawy przejął jego syn, Zenon. Obaj byli gwardzistami, a potem żołnierzami Armii Ludowej. Teraz siedzą naprzeciwko mnie — ojciec staruszek już 81-letni i syn, który potrafi za jednym zamachem dźwignąć 100 kg wór z mąką i zarzucić go na plecy.

— W czterdziestym trzecim roku nie było w mieście światła, a u mnie, w młynie była prądnica elektryczna do poruszania maszyn — mówi ojciec. — To był generator na wagę złota. Trzeba było uruchomić partyzancką radiostację, więc puszczałem w ruch młyn, choć mąki nie mellem. Młyn sobie chodził, a radiostacja pracowała pod klepiskiem w stodole. Partyzanci mieli też aparat roentgenowski do prześwietleń... Nieraz trzeba go było uruchomić, a źródło prądu było u mnie. Więc młyn chodził, choć mąki nie mell.

— Po co był nam potrzebny Roentgen?...

Trzeba było często prześwietlać złamania, żeby chirurg wiedział, co jest z rannymi. Chirurg był partyzancki. Czasem lekarza sprowadzano do specjalnie trudnych operacji z Lubartowa albo i z Lublina. Potajemnie, rzecz jasna...

W czasie operacji dom był silnie strzeżony. Gdyby Niemcy próbowali w tym czasie odwiedzić mnie, to na pewno by do mnie nie dotarli. Chyba, żeby szturmowali dom całym batalionem.

A ile narad było w tym pokoju! Całe sztaby partyzanckich oddziałów schodziły się tu w nocy. Ustalano plany operacyjne, akcje, podejmowano uchwały. Pamiętam dobrze słynnych dowódców Gwardii Ludowej, a potem Armii Ludowej — Mieczysława Moczara, Grzegorza Korczyńskiego... Siedzieli tu, przy tym samym stole co my teraz...

Stary młynarz przeciera ręką oczy. Źle już ze wzrokiem. Pałeczkę wspomnień przejmuje syn.

...Raz okrążyli nas na stawach. Sytuacja była krytyczna. Bili do nas z broni najcięższego kalibru. Kilka batalionów wojska rzuciło wtedy na nas. Kiedy już nie było ratunku i brakowało amunicji, padł rozkaz:

— Przedzierać się przez pierścień okrążenia na własną rękę.

W tym dniu przeżyłem najdramatyczniejsze chwile w moim życiu. Wybrałem drogę przez bagna, a wraz ze mną biegła nasza sanitariuszka — Irka. Zapadaliśmy się po pas w gęstej, brudnej wodzie... Za nami biły serie z broni maszynowej. Odwrotu nie było. Do niewoli gwardziści nie szli. W pewnej chwili Irka straciła grunt pod nogami i zaczęła tonąć. Kiedy człowiek walczy o życie, zapomina o wszystkim innym. Irka zaczęła strasznie krzyczeć. Brnąłem do niej i próbowałem ją przeciągnąć w płytsze miejsce. Wtedy nas odkryli. Do bagna bali się wkroczyć, ale wiedzieli, skąd biegł krzyk. Cały swój ogień skierowali na nas. Nie wiem, dlaczego żyję do dziś. Takich wybuchów dookoła — nigdy już nie widziałem. Nawet przy forsowaniu Odry. Przez 24 godziny tkwiliśmy w tym bagnie po szyje, bo przez 24 godziny poszukiwano naszych śladów. Przeżyliśmy — dołączyłem do drugiego oddziału, bo z mojego wielu nie przeszło.

*

Można długo snuć opowieści, bo każdy tutaj utrwalił w pamięci chwile piękne i straszne. Stanisław Dąże — zbrojmistrz partyzancki, miał w swojej szopie prawdziwy magazyn broni. Ileż razy była u niego rewizja i nic nie znaleziono. Oddzielne wspomnienia można by spisać o szewcu Jaszczuku, który garbował potajemnie skóry, żeby partyzantom robić buty. Lubili chodzić w... saperkach — mówi.

Jeden dzień utkwił mieszkańcom szczególnie w pamięci. Był to dzień wolności, kiedy miasto zostało przez żołnierzy Armii Ludowej całkowicie oswobodzone. Powiewały wtedy na domach biało-czerwone sztandary, a w domu pana Kasperczuka odbywało się pierwsze posiedzenie konspiracyjnej Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Zjechali wtedy do miasteczka delegaci całego województwa lubelskiego: reprezentowali Stronnictwo Ludowe, Bataliony Chłopskie, byli przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego, Związku Pracowników Umysłowych, Spółdzielczości, Polskiej Partii Robotniczej, Armii Ludowej, Związków Zawodowych. Podejmowano uchwały, które miały być pierwszymi aktami prawnymi Rady Narodowej w Lublinie. Front stał daleko jeszcze za Bugiem, a tu była już wolna Polska.

Zostały po tamtych dniach ślady nie tylko utrwalone w ludzkiej pamięci. W Domu Kultury, w jednej z sal, dzięki staraniom Władysława Wysockiego, powstała „Sala Pamiątek". Zebrano w niej dokumenty z okupacyjnych walk, dowody zbrodni hitlerowskich, zdjęcia, plakaty i obwieszczenia niemieckie, pierwsze dekrety władzy ludowej, mundury partyzantów, czapki, krzyże i ordery partyzanckie.

Ale Ostrów dziś to nie tylko partyzancka przeszłość — to przede wszystkim przyszłość. Zbudowano tu po wojnie ładny Dom Kultury, wiele murowanych domów, buduje się nową szkołę, powstały warsztaty mechaniczne, asfaltowa szosa łącząca Ostrów ze światem, zaprowadzono światło elektryczne. Dziś marzy się o szpitalu, o ładnych sklepach i o pomniku, który powinien tu stanąć.

Kilku chłopców jak zwykle stoi na przystanku PKS. Uśmiechają się do mnie. W ciągu tych dwóch dni zdążyliśmy się zapoznać.

— Szkoda, że pan wyjeżdża — zagadują mnie. — Jutro w szkole jest u nas zabawa karnawałowa. Piękne dekoracje zrobiliśmy...

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Rys. J. Rocki.

Poniżej drukujemy oryginalne zarządzenia władz hitlerowskich, rozlepiane przez żandarmów na płotach, domach i słupach, w Ostrowie Lubelskim. Wywołały one u mieszkańców miasteczka tylko uśmiech politowania i w większości wypadków w nocy były usuwane. Nikt nigdy nie zdradził hitlerowcom miejsc, gdzie przebywali partyzanci, których hitlerowcy nazywali... bandytami.

ZARZĄDZENIE NR 4

Mimo wyraźnych, ostrych i licznych rozkazów i pouczeń, ludzie sabotują zwalczanie bandytów przez Schutzpolizei stosując pasywny opór.

Przypominam o natychmiastowym obowiązku meldowania o pojawieniu się band nawet po godzinie policyjnej.

KPT. SCHUTZPOLIZEI

DO WIADOMOŚCI MIESZKAŃCÓW OSTROWIA

Dnia 12 kwietnia br. na terenie gmin Melgiew względnie Brzeziny został napadnięty i uprowadzony obywatel niemiecki.

Osoba, która przez podanie wiadomości przyczyni się do odnalezienia uprowadzonego, otrzyma nagrodę w postaci 100 litrów wódki. Ilość wódki zostanie podwojona, jeśli te dane przyczynią się do ujęcia sprawców.

BURMISTRZ

OGŁOSZENIE NR 125

Używanie rowerów przez nie Niemców jest od dnia 30.8.42 roku tylko za policyjnym zezwoleniem dopuszczalne.

BURMISTRZ

ZARZĄDZENIE

Z powodu bezpieczeństwa od natychmiast zabrania się wszelkiego grupowania mężczyzn na ulicach.

Przy zbliżaniu się pojedynczych jak i grup umundurowanych Niemców, muszą wszyscy mężczyźni wyjąć ręce z kieszeni spodni bez wezwania, jak również nie wolno trzymać rąk za plecami.

Ja rozkazałem natychmiast ostro strzelać, gdy Schutzpolizei rozpozna chęć do stawiania oporu.

KPT. SCHUTZPOLIZEI

W tym domu odbyło się konspiracyjne posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. Na ten dzień instytucje niemieckie i żandarmi zostali przepędzeni — miasto zostało opanowane przez partyzantów AL. Było to pierwsze miasto w Polsce, które było wolne.

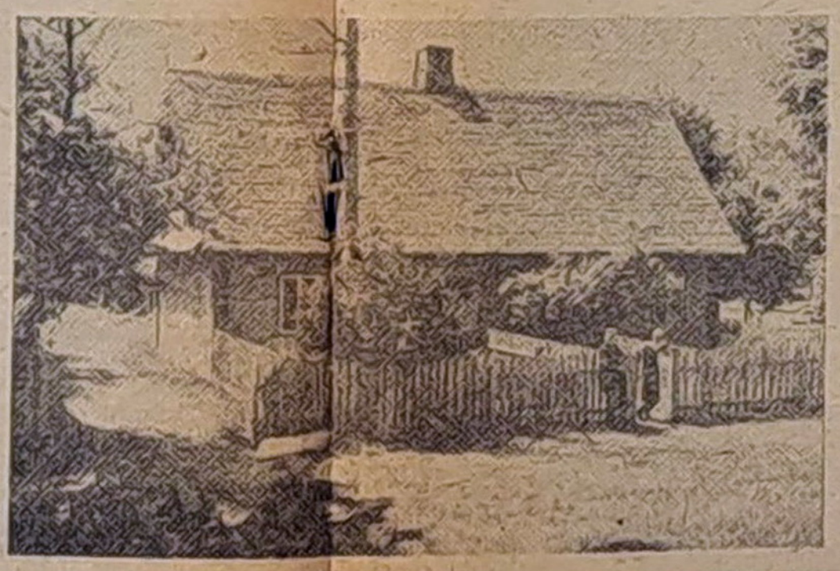

Wnętrze domu jest takie jak wtedy. Gospodarz nic tu nie zmienił. Siedzieli na tych ławach i krzesłach, obradowali przy tym stole.

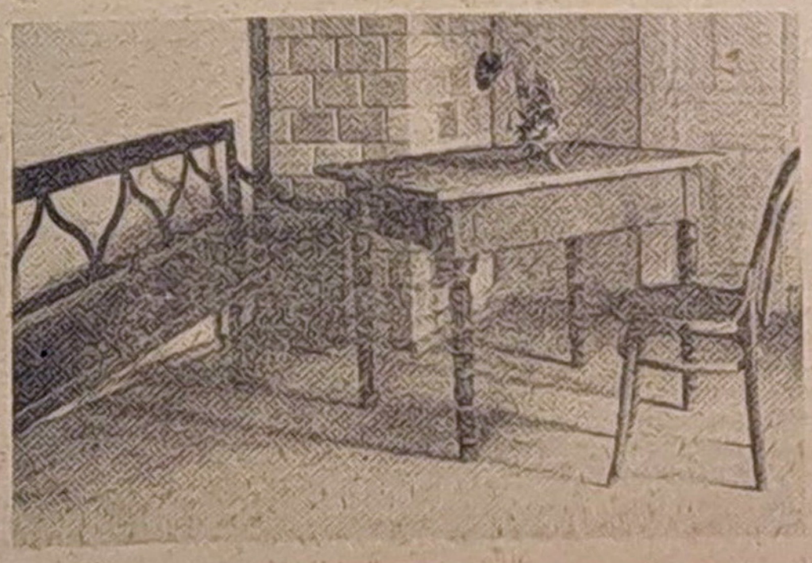

Pamiątkowa tablica na ścianie domu dawnego partyzanta, tow. Kasperczuka.

Foto: Adam Mottl

Latające talerze

HISTORIA latających talerzy jest właściwie stara jak świat. Wzmianki o tajemniczych obiektach latających pojawiają się od czasu, jak człowiek pierwotny zaczął interesować się niebem, czyli przestrzenią świata leżącą ponad jego głową. Jedną z najciekawszych znanych relacji o zjawiskach nadprzyrodzonych znajdujemy w Starym Testamencie. Pisze w niej kapłan jerozolimski Ezechiel (żył około dwa i pół tysiąca lat temu): **„I widziałem, a oto wiatr wichru przychodził od północy, i obłok wielki i ogień mięszający, a jasność około niego, a z pośrodku jego jako kształt mosiądzu, to jest, z pośrodku ognia"** — (Biblia, wyd. Bryt. i Zagr. Tow. Biblijne, Warszawa 1960 r., str. 749).

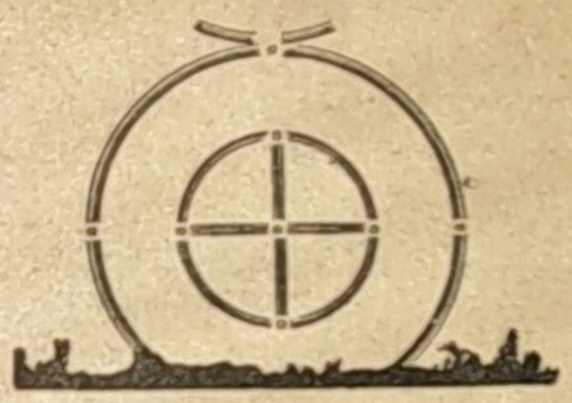

Tak wyglądało prawdopodobnie zjawisko, które oglądał i opisał Ezechiel.

Podobne zjawiska obserwowano i później. Np. w roku 1645, dnia 21 maja zauważono — **„w wielu miejscowościach hrabstwa Cambridge ognistą kulę, toczącą się po niebie; kula ta nagle upadła na ziemię, toczyła się po niej, po czym uniosła się ku górze i znikła w powietrzu"** — (z książki: „Dziwne znaki z Niebios" wydanej w Londynie w r. 1646).

Oczywiście, w owych czasach uważano, że człowiek jest jedyną istotą żywą w całym wszechświecie. Tak mówiła religia i nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby np. twierdzić, iż tajemniczymi obiektami latającymi są statki kosmiczne z istotami pozaziemskimi. Dlatego też tłumaczono te zjawiska jako sygnały od zagniewanych bogów, jako przepowiednie, że nastąpi coś niezwykłego.

Wielu ludzi przestało wierzyć w bogów, ale zjawiska się powtarzały. Rozwijająca się nauka zaczęła więc badać te sprawy, przeprowadzano systematyczne obserwacje, próbowano to i owo wytłumaczyć. Dopiero jednak odkrycie elektryczności wniosło więcej światła w interpretacje uczonych. Dopiero prawa rządzące elektrycznością i optyką dostarczyły podstawowych argumentów w wyjaśnieniu zjawisk pozornie dziwnych i nieznanych.

Charakterystyczne jest jedno w tysiącach opisów tych dziwów. Mianowicie zawsze obserwatorzy dopatrywali się na niebie kształtów podobnych do urządzeń znanych już na ziemi, lub takich, które właśnie wymyślono. Dawniej widywano ogniste węże, walczące zwierzęta, miecze i krzyże, a nawet smoki z legend. W wieku XIX, kiedy zaczęto w sposób „naukowy" interesować się spirytyzmem, czyli wywoływaniem duchów, na wyspie Marsh Pont położnej u wybrzeży Anglii ukazywały się regularnie świecące w nocy krążki, które okoliczni chłopi nazywali oczywiście duchami. Pisały o tym ówczesne gazety całego świata; „duchy" były widoczne przez wiele nocy z brzegów Anglii, natomiast mieszkańcy wysepki nigdy nic nie widzieli.

Koniec wieku XIX, nazywanego „wiekiem pary i elektryczności" przyniósł nowe sensacje. Znany był już balon, wobec czego tajemnicze obiekty zauważone na niebie nad Stanami Zjednoczonymi w roku 1897 potraktowano jako statki powietrzne, napędzane parą i elektrycznością. Ukazały się nawet wywiady z ludźmi, którzy rzekomo rozmawiali z pasażerami tych statków. Doniesienia prasowe zaczęły się pojawiać coraz częściej, zwrócono się więc do Tomasza Edisona, największego wynalazcy wszechczasów, aby sprawę wyjaśnił. Oto co powiedział: **„Nie wierzę, aby wynalazek statku powietrznego można było utrzymać w tajemnicy. Nie wątpię, że statek taki zostanie w przyszłości zbudowany. Nie będzie to jednak ulepszony balon, a raczej urządzenie mechaniczne o lekkim i potężnym silniku. Dzisiejsze wiadomości o krążącym nad krajem statku są oczywistą bzdurą".**

Po wypowiedzi Edisona nagle przestały się ukazywać w gazetach opisy dziwnych pojazdów powietrznych.

Astronomia wyposażona w doskonalsze urządzenia, penetrując niebo — dostarczała coraz to nowych informacji o nim. Najwięcej zainteresowania wzbudziły oczywiście najbliższe nam planety. Dość szybko zorientowano się, że na Księżycu nie ma form życia zdolnych do wytworzenia cywilizacji, a więc nie zdarzyło się, by ktoś dowodził, iż statki kosmiczne przybywają do nas właśnie z Księżyca. Ale tajemnice Wenus otoczonej chmurami, a szczególnie Marsa z jego „kanałami" fascynowały ludzi nadal i kiedy tylko w gazetach i książkach uczeni zaczęli ogłaszać wyniki swych obserwacji, od razu znaleźli się tacy, którzy nieznane zjawiska tłumaczyli przybyciem gości kosmicznych z tych właśnie planet.

Pierwszy był niejaki Mr Newton (nie mylić z Izaakiem Newtonem) zajmujący się poszukiwaniem pól naftowych. Wygłosił on wykład na Uniwersytecie w Denver w 1950 r. Dowodził w nim, że spotkał trzy razy latające talerze z Wenus, w których były wieloosobowe załogi. Astronauci — to liliputy podobne do ludzi, wysokości około 1 m. Dwie z załóg zginęły, a trzecia uciekła na widok mieszkańców Ziemi i nie można jej było dogonić. Oczywiście, żadnych dowodów Mr. Newton nie przedstawił w czasie wykładu, zasłaniając się tajemnicą państwową.

Zdumiewające w tym wszystkim jest jedno: otóż wykładowca dowodził (a przecież nie byle komu, bo wśród słuchaczy byli i naukowcy), że statki poruszane są nie wyjaśnioną bliżej „siłą magnetyczną" i awarie ich nastąpiły na skutek tzw. „uskoków magnetycznych". Jest to sprawa warta szerszego omówienia, gdyż udowadnia, że Mr Newton, to po prostu niedouczony maniak.

Wszyscy wiedzą, jak wygląda magnes i jak układają się wokół niego pola sił. Wyjaśnia to rysunek 1.

Otóż Mr Newton uważa — o jego teorii pisało wiele gazet — że sprawa przedstawia się inaczej. Że jest on odkrywcą nowych praw fizycznych, według których pola sił magnesu mogą w pewnym miejscu ulec przesunięciu czy przerwaniu, po prostu mogą nagle zaniknąć, żeby kawałek dalej pojawić się znowu (rys. 2).

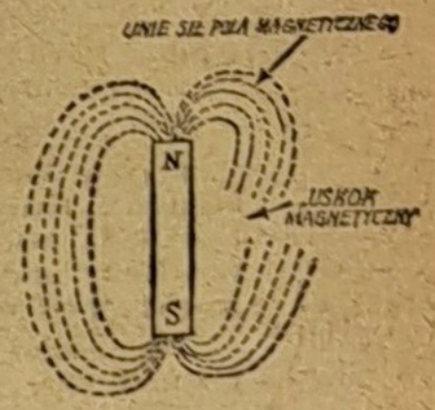

Rys. 2.

Oczywistej bzdury tego twierdzenia nie trzeba nikomu udowadniać. Mogą w to wierzyć tylko tacy, którzy albo nigdy nie chodzili do szkoły podstawowej, albo dawno zapomnieli, czego w niej uczono.

Rozpisałem się na temat sił pola magnetycznego, ponieważ na ogół ludzie propagujący latające talerze są dodatkowo twórcami różnych, dziwnych „teorii naukowych", potrzebnych im do wyjaśnienia tego niezwykłego zjawiska. Bowiem zjawisko znane pod nazwą „latających talerzy" istnieje naprawdę. Potwierdza to wiele sprawdzonych obserwacji naukowych, fotografii czy obrazów na ekranie radarowym. Są uczeni, również w Polsce, którzy tym problemem się zajmują.

O dzisiejszym stanie wiedzy na temat latających talerzy, napiszę niedługo w drugiej części tego artykułu. Wydrukujemy również ich fotografie i zamieścimy opinie naukowców na ten temat.

oprac. JERZY DĄBROWSKI
Rys. M. Kościelniak

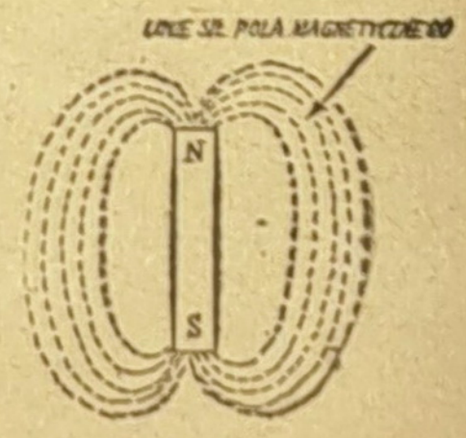

Rys. 1.

(Zakończenie w następnym numerze).

Zręczny jak kot — punktualny jak zegarek

ŚWIAT MŁODYCH: — Jesteśmy w pełni sezonu piłki koszykowej. Rozgrywki, turnieje, spotkania międzynarodowe nie schodzą ze szpalt prasy, nie tylko sportowej. Zacięte walki o piłkę i mistrzowskie „zwody" podziwiamy na szklanym ekranie. Piłka koszykowa zdobywa sobie coraz więcej zwolenników, coraz więcej chłopców i dziewcząt pragnie brać udział w treningach i zawodach. Poprosiliśmy więc o wywiad na temat tej pasjonującej gry znanego trenera warszawskiej Legii, drużyny, która wielokrotnie wywalczyła sobie w latach ubiegłych mistrzostwo I-ej Ligi. Jego wychowankowie brali udział w międzynarodowych turniejach i przyczynili się do tego, że... ale oddajmy głos panu Maleszewskiemu.

— Jakie miejsce nasi koszykarze zajmują w czołówce światowej?

P. MALESZEWSKI: — Na olimpiadzie w Tokio „wylądowaliśmy" na szóstym miejscu za światowymi potęgami: Stanami Zjednoczonymi, Związkiem Radzieckim, Brazylią... czyli krajami, w których koszykówka od lat jest tak popularna, jak np. u nas piłka nożna. Na mistrzostwach Europy w Moskwie, w 1965 roku, zajęliśmy za Związkiem Radzieckim i Jugosławią trzecie miejsce.

— Najbliższym spotkaniem międzynarodowym będą teraz mistrzostwa świata w Urugwaju, w końcu maja bieżącego roku, później w październiku, w Finlandii, mistrzostwa Europy. Ten sezon pokaże nam co nasza odnowiona, odmłodzona reprezentacja jest w tej chwili warta. No, a w roku przyszłym czeka Meksyk!

ŚM.: — Napływ do drużyn koszykówki jest coraz większy, co pana zdaniem pociąga młodzież najbardziej w tym sporcie?

M.: — Nie tylko graczy, ale i widzów przybywa nam z każdym rokiem. Od lat kilkunastu, to znaczy odkąd zaczęliśmy stawiać na coraz młodszych zawodników, stwierdzamy, że coraz więcej dziewcząt i chłopców wybiera ten właśnie sport. Dlaczego? Pociąga ich gra, element współzawodnictwa i to współzawodnictwa wymagającego przede wszystkim zręczności. Po drugie możliwość ruchu, wybiegania się w okresie, kiedy poza nielicznymi ślizgawkami nie ma innych możliwości uprawiania sportu. Mała ilość graczy, bo tylko po pięciu w drużynie, duże boisko, to są chyba przede wszystkim elementy które pociągają.

Ś. M.: — Mówi pan, że pociąga element współzawodnictwa. Obserwując mecze chciałoby się raczej nazwać to walką...

M.: — Tak, w pewnym sensie to jest walka, lecz przepisy gry w koszykówkę są w porównaniu do innych gier bardzo surowe, ograniczają możliwość bezpośredniej walki, ba, nawet zabraniają dotknąć posiadającego piłkę przeciwnika.

Największe szanse ma zawodnik zręczny, taki, który potrafi wyskoczyć wysoko, złapać w powietrzu równowagę, miękko przemknąć się między graczami. Koszykarzowi potrzebna jest siła i szybkość, ale decyduje zręczność.

Często chłopiec, który przychodzi do drużyny, np. w okresie, kiedy rośnie, i długie ręce i nogi czynią go niezręcznym, tę niezręczność po kilku miesiącach treningu opanowuje, nabiera zwinności, ruchy stają się skoordynowane.

Ś. M.: — Mówi się o koszykówce, że wymaga wielkiego zżycia się graczy, bo przemyślane zagrania wymagają współdziałania całego zespołu.

M.: — Taki zespół koszykówki to moim zdaniem, coś więcej niż klasa w szkole, może nawet coś więcej niż zastęp harcerski.

Nie dochodzi się do tego od razu. W trakcie zżywania się zawodników, którzy przychodzą często z zupełnie różnych środowisk, z innych szkół, z różnych dzielnic miasta, dochodzi czasem do spięć, ale gracze szybko przekonywują się, że w tym właśnie sporcie wszystko musi być podporządkowane zespołowi i nie ma miejsca na wybujałą samowolę i indywidualne popisy.

Dawniej w koszykówce drużyna dzieliła się na 2 broniących i 3 atakujących, dziś ten styl gry został kompletnie zarzucony dziś atakujemy całą piątkę, bronimy piątką, wszyscy jednakowo odpowiadamy i za zdobycie kosza, i za porażkę. W tym układzie praktyka wykazuje, że nawet w krótko trenującym zespole jednostki, które nie umieją się podporządkować temu wspólnemu celowi, muszą odpaść. Myślę, że to ma ogromny wpływ na postępowanie człowieka jeszcze w szkole i potem w życiu, na studiach, w pracy, w wojsku czy w rodzinie. Nawyk podporządkowywania się zespołowi łagodzi szorstkość i indywidualność, pomaga chłopcu czy dziewczynie zżywać się z otoczeniem.

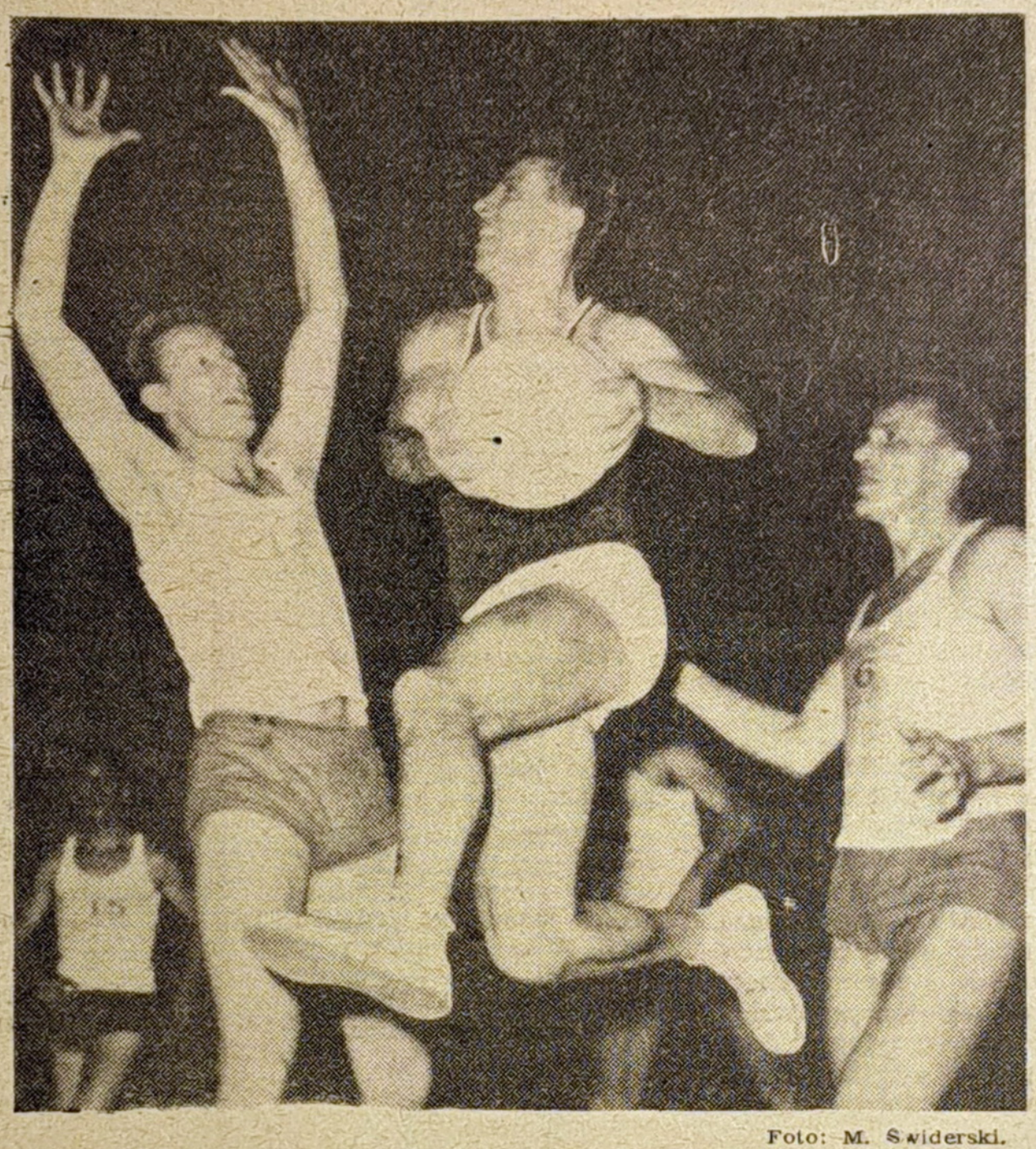

Foto: M. Świderski.

Ś. M.: — Często na meczach sprawozdawca komentuje porażkę dobrego zespołu tym, że zawodników zawiodły nerwy. Jaką więc rolę odgrywają nerwy w koszykówce?

M.: — Początkowo wymagamy od zawodnika ambicji, zapału, energii, stopniowo jednak domagamy się również opanowania. To nie przychodzi od razu, bo każda gra porywa, im bardziej zespół jest ambitny, tym bardziej nerwowy. Stopniowo jednak zawodnicy nabierają odporności i wytrzymałości. Nabywają te cechy w miarę, jak coraz częściej uczestniczą w meczach.

Nie zawsze publiczność jest życzliwa dla zespołu, nie zawsze widzowie zachowują się po sportowemu, a jednak trzeba do końca meczu zachować zimną krew.

Ś.M.: — A jaką cechę najtrudniej jest wyrobić w najmłodszych zawodnikach?

M: — Może to śmieszne, ale... punktualność. Lekarstwo na to bywa proste. Za każdą minutę — rundka dookoła boiska, przy czym reszta zawodników traktuje delikwenta humorystycznie, po paru treningach niepunktualność mija.

Duży nacisk kładziemy też na dobre wyniki w nauce. Koszykarz musi umieć myśleć, i chłopak który nie chce zmusić się do nauki, nie będzie też dobrym zawodnikiem, nie będzie robił postępów w grze. W mojej praktyce takich przykładów było dziesiątki. Moi wychowankowie mają już niektórzy po 39, 40 lat, większość z nich podochodziła do czegoś w życiu i przyznaje się do tego, że przyzwyczajenie do punktualności do reżimu treningowego, do wysiłku, do przezwyciężania samego siebie niesłychanie pomaga w nauce, a później w osiągnięciu powodzenia w ulubionym, wybranym zawodzie. Wydaje mi się, że to jest jedna z przyjemniejszych stron zawodu trenera, kiedy się widzi, że zawodnik, wychowanek, któremu i nauka przychodziła z trudem i na treningu mu się nie chciało pracować — dzięki sportowi, a może w pewnym sensie przy pomocy sportu, bo przecież dużą rolę odgrywa również otoczenie, raptem idzie naprzód, dochodzi do wyników w szkole i w sporcie. Im dalej, tym trenerowi i temu środowisku, z którego pochodzi zawodnik, przyjemniej.

Rozmawiała

HANNA KOLASIŃSKA

Czworonożni ratownicy

NAJSŁYNNIEJSZY PIES z Góry Św. Bernarda żył w epoce napoleońskiej. Podobno w czasie kilkuletniej służby uratował on od śmierci 42 osłabionych brnięciem po śniegu podróżnych. Był to ów legendarny Barry, który zimą 1801 roku zginął, ratując francuskiego żołnierza. Kiedy pies odgrzebał żołnierza spod śniegu i polizał mu twarz, ten ocknął się z omdlenia, a sądząc, że atakuje go wilk, resztką sił pchnął Barrego nożem...

Zaczęło się to wszystko gdzieś w połowie XVII wieku, kiedy to w klasztorze na Górze Św. Bernarda zaczęto hodować psy dla ochrony przed górskimi rozbójnikami. W roku 1708 kanonik Vincenzo Camos nauczył jednego psa obracać rożen z mięsem i szczekać na kucharza, kiedy pieczyste było gotowe. Po tych doświadczeniach zakonnicy ocenili należycie inteligencję swoich psów i nauczyli je szukać zaginionych w śniegu podróżnych.

Z biegiem lat coraz rzadziej używano psów do akcji ratunkowych. Ostatni raz, kolejny Barry (była cała psia dynastia tego imienia) uratował od śmierci człowieka w 1962 roku. Dzisiaj na sławnej górze są jeszcze wprawdzie psy, ale tylko w charakterze atrakcji dla nielicznych turystów.

Andrzej Leparski w tragikomicznej scence pt. „Pojedynek krótkowidza",

Teatr bez słów

WSALI panuje ciemność i cisza. I nagle w tę ciszę wdarł się głośny akord fortepianu. Na środku sali zamigotał jasny krąg światła. W ten świetlisty krąg wszedł człowiek w cielistych trykotach. Ma smutną, nienaturalnie białą twarz. Oczy podkreślone pionowymi kreskami czynią tę twarz tragicznie smutną. Człowiek ma zgarbione plecy, pochyloną postać, idzie powłócząc nogami. Widać, że jest stary. Dźwiga walizkę. Musi mieć w niej dużo rzeczy, bo walizka jest ciężka.

W walizce są maski. Różnorodne karnawałowe maski, które człowiek po kolei wyjmuje, nakłada na własną twarz i demonstruje widzom

Człowiek coraz spieszniej nakłada i zdejmuje kolejno maski: pajaca, kukły, dziecka... Coraz żywiej gra muzyka. Człowiek szpera na dnie walizki. Znalazł maskę roześmianego błazna. Nakłada ją na własną twarz. Demonstruje zebranym wesołe, roześmiane oblicze. Ale maska błazna niespodziewanie przykleja się do ludzkiej twarzy. Stary człowiek nie może jej zdjąć. Maska przylega mocno. Stary człowiek nie ma siły, ciągnie szarpie, rwie... Maska niezmiennie uśmiecha się na twarzy starca. Człowiek coraz bardziej traci siły, uginają się pod nim kolana, całe ciało wiotczeje, ręce wykonują jakieś bezradne ruchy. A twarz... twarz się śmieje. I wreszcie starzec drze maskę. Rozdziera najpierw jej górną część. Ukazują się smutne, zmęczone oczy człowieka. Jego usta natomiast uwięzione w masce wciąż się śmieją.

Gdy ostatkiem sił zerwana zostaje dolna część maski, znów widać już tylko zmęczoną i tragiczną twarz człowieka, który pada na walizkę ze swymi skarbami...

Tę krótką dramatyczną scenkę odtworzył bez jednego słowa i bez żadnego rekwizytu młody wrocławski aktor z teatru „Gest" Marek Gołębiowski. Wszystko pokazał tylko gestem, ruchem i mimiką, stojąc samotnie w kręgu światła, na pustej scenie.

„Gest"

WROCŁAWSKI Teatr Pantomimy „Gest" znany jest nie tylko w kraju, ale i za granicą. Przez pięć lat swego istnienia zespół zyskał międzynarodową sławę i wiele nagród.

Na Swiatowym Festiwalu Teatrów Studenckich we Francji (Nancy) „Gest" zdobył srebrny medal (w konkurencji silnej, bo 40 teatrów z wielu krajów). W roku 1965 na X Festiwalu w Turcji (Istambuł) aktorzy z „Gestu" zajęli w grupie pantomimy I miejsce. Na Festiwalu w Ankarze „Gest" cieszył się także ogromnym powodzeniem. Podobnie entuzjastycznie przyjmowano go w Paryżu, Leningradzie, Skandynawii, w krajach Demokracji Ludowej. Po ostatnim festiwalu w Finlandii aktorzy przywieźli jak zwykle nagrodę, a także mnóstwo pochlebnych recenzji, wiele najmilszych wspomnień oraz identyczne dla całego zespołu białe, fińskie czapki, z których to znani są

„Żołnierz" odtworzony przez utalentowanego aktora z „Gestu" — Jerzego Przybyłę.

jeszcze bardziej w swym mieście.

Aktorzy teatru „Gest" to studenci Wyższych Szkół we Wrocławiu, w większości jednak z wydziału architektury. Urzędują w Pałacyku, gdzie mieści się Klub Studencki. Tam też się z nimi spotkałam.

W świecie przedmiotów

MÓWI Marek Gołębiowski — w jednej osobie autor pomysłów, aktor i reżyser teatru „Gest".

— Zanim wyjdzie się na scenę, trzeba dużo, dużo ćwiczyć. To ciężka fizyczna praca. Na scenie każdy ruch wygląda tak miękko, ale przedtem...

Np. ćwiczenia rąk, palców, mięśni twarzy, gałek ocznych. Mówi się nieraz: „Co on się tak wykrzywia przed tym lustrem". A to są ćwiczenia. Ciągle te same: uśmiech, płacz, grymas strachu, grozy, gniewu. Inaczej oczy patrzą za lekkim motylkiem, który zamigotał przed naszą twarzą, inaczej za płynącym w słońcu okrętem, jeszcze inaczej za przelatującym po niebie odrzutowcem. To samo nogi. Jakże różnią się od siebie choćby skradające i czujne kroki złodzieja, nieporadne stąpania dziecka, prędkie tupoty dziewcząt obutych w szpilki, człapanie starca, marsz żołnierza... Niby każdy to wie, każdy widzi różnicę, ale czy potrafi odtworzyć bezbłędnie te kroki tak, aby widz odgadł, do kogo one należą?

Kierownikiem artystycznym „Gestu" jest Leszek Niedzielski. W skład zespołu wchodzą jeszcze: Jerzy Przybyła, Andrzej Leparski, Janusz Stankiewicz i Remigiusz Lenczyk.

„Gest" trwale zapisał się w dorobku artystycznym naszego kraju. Poza światowej sławy zawodowym teatrem Pantomimy pod dyrekcją prof. Tomaszewskiego (również z Wrocławia) mało jest u nas naśladowców tego typu sztuki. A sztuka to trudna.

Co dzień pijemy herbatę, myjemy się, schodzimy po schodach, tłoczymy się do tramwaju i trzaskamy drzwiami. Ale powtórzyć tych ruchów na zamówienie, nikt z nas nie potrafi. Ja też próbowałam „udawać", że mieszam gorącą herbatę w szklance i usiłuję ją pić. Nie udało się. Dlaczego? Przecież co dzień robię to samo przy śniadaniu?

Otóż sztuka polega na tym, że my wszyscy obracamy się stale w świecie przedmiotu. Gdy usuną nam go spod ręki, czy z pola widzenia, już jesteśmy bezradni.

A mim działa przeważnie bez przedmiotu, bez rekwizytu. On sobie wyobraża, że przedmiot istnieje i sugeruje nam to samo w swych czynnościach. Im ta wyimaginowana czynność jest bliższa prawdy, tym odtwórca (mim) bliższy mistrzostwa i doskonałości.

Tym z „Gestu" na pewno to się udało. Ich gest, mimika, ruch, plastyka całego ciała jest mistrzowsko pokazana. Oni potrafią z niebywałą doskonałością odtworzyć nam prawdziwą rzeczywistość i to jest sens teatru pantomimy — na podstawie gestu i umownych symboli pokazywać świat, w którym żyjemy.

A. WIELGOŁAWSKA

PANTOMIMA

Pantomima — słowo pochodzenia greckiego, pantomimos znaczy „naśladujący wszystko". Pantomima to teatr bez słów.

Aktor, czyli mim, w takim teatrze dla wyrażenia uczuć i akcji posługuje się jedynie ruchem i gestami.

Nieme widowiska odbywały się w Europie już w XVII w.

Teatr pantomimy powstał z ludowego włoskiego teatru.

Oglądać można było takie nieme widowiska 300 lat temu we Włoszech, Anglii i Francji.

Mim był artystą zrozumiałym dla wszystkich, nawet gdy grupa wędrujących kuglarzy znajdowała się w obcym kraju.

Itak się zaczął teatr, który już w XVIII wieku miał sławnych artystów — mimów.

Mimami sławnymi byli ojciec i syn Gaspard i Charles Deburau. To właśnie oni stworzyli postać Pierrota, pajaca z umalowaną na biało twarzą.

Adziś teatr pantomimy istnieje nadal. Znani są współcześni sławni mimowie jak Jean Louis Barrault, Marcel Marceau, a w Polsce obecnie Henryk Tomaszewski — twórca Wrocławskiego Teatru Pantomimy.

ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 164. T-44

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24